

KAZIMIERZ REJMAK

Kolegium Pracowników Służb Społecznych, Lublin

Retrospektywne rozważania pedagogiczne z Korczakiem w tle

Na moim podwórzu jest ściana łaciata
na ścianie tej dzieci list piszą do świata
ogromny zbiorowy list
w tym liście są żale i skargi dziecięce
pisane niedbale bazgrane na prędce
gdy z okien nie patrzy nikt
gdyby te listy czytał świat
to pewnie by się zmienił
a mędrzy mądrzy że aż strach
milczeli zawstydzeni
a ja wam stokrotnie powiedzieć chcę dzięki
bo wasze pisanie i moje piosenki
to w mroku zapałki błysk
to w mroku zapałki błysk

A. Sikorowski: List do świata

Trudne to zadanie, dla wielu dorosłych – to czytanie „pisanych” każdego dnia przez nasze dzieci listów – często, jak we wspomnianym tekście A. Sikorowskiego, „pisanych niedbale, bazgranych napędce”, które mimo formalnej niedoskonałości zawierają wiele istotnych dla rodziców i wychowawców treści. Ilu z nas ma na tyle wrażliwości, by w dziecku dostrzec człowieka w pełni przysługujących mu praw, by wreszcie samo dziecko w związku z naszymi nieodpowiedzialnymi zachowaniami nie traktowało swojego dzieciństwa jako doświadczenia, które nie należy w jego odczuciu do pozytywnych. By dziecko chciało być dzieckiem. W *Pismach wybranych* J Korczaka czytamy:

Poetą jest człowiek, który bardzo się weseli i bardzo się martwi, łatwo się gniewa i mocno kocha – który silnie czuje, wzrusza się i współczuje. I takie są dzieci. A filozofem jest człowiek, który się bardzo zastanawia i chce koniecznie wiedzieć, jak wszystko jest naprawdę. I znów, takie są dzieci. Dzieciom trudno powiedzieć, co czują i o czym myślą, bo trzeba mówić wyrazami. A jeszcze trudniej pisać. Ale dzieci są poetami i filozofami – od dorosłych zależy jak długo nimi pozostaną.

Przed laty stałem się przypadkowym obserwatorem pewnej sceny rozgrywającej się na jednym z lubelskich osiedli. Grupa dzieci bawiących się w dom rozdzielala właśnie role. W narysowanym kredą na asfaltowej alejce domu, z bukietem białego bzu stojącym na podstawie z czerwonej cegły, miała znaleźć swe lokum rodzina – ojciec, matka, ciocia i wujek, którzy właśnie gościnnie pojawili się w podwórkowym domu. Oczywiście jego mieszkańcami, z racji potrzeb zabawowego scenariusza, miały być również dzieci – dwoje, jak zdecydował lider zabawy, w sposób naturalny wcielający się w rolę ojca. I tu pojawił się problem. Wśród uczestników zabawy nie było kandydata do roli dziecka. – „Ja nie chcę być dzieckiem” – protestował pulchny blondynek – „ja też nie będę!” wtórowała mu wyraźnie niezadowolona z propozycji mała, piegowata dziewczynka, przypominająca nieco legendarną Pippi – Astrid Lindgren. Zaobserwowana sytuacja pokazuje pewną prawidłowość, a może raczej jej brak. Dlaczego dzieci nie chcą być dziećmi, skąd u naszych maluchów ta ponadrozwojowa dążność do bycia dużym i dorosłym? Czy rzeczywiście perspektywa bycia dorosłym jest tak bardzo atrakcyjną, czy bycie dzieckiem jest tak bardzo nieatrakcyjne, bo wiążące się z przykrymi konsekwencjami braku możliwości należytej uwagi i szacunku. Wnioski z obserwowanego zachowania dziecięcej grupy zabawowej pozostają niejako w opozycji do współczesnej kultury, która skłonna jest okres dzieciństwa postrzegać jako krainę mlekiem i miodem płynącą, krainę szczęśliwości. Tymczasem rzeczywistość zdaje się przeczyć tej bajkowej wizji współczesnej kultury. W socjalizacji i zabawie współczesnego dziecka widać wyraźnie odbijające się cechy społeczeństwa informatycznego i kultury medialnej. Mieszają się w niej doświadczenia pokoleń, role dorosłego i dziecka, mistrza i ucznia.. „Dziecko-świętek” jak pisze Barbara Smolińska-Theis, jest symbolem i sensem naszej drogi życiowej. Jest dopełnieniem i spełnieniem się dorosłego. Wyraża jego miłość, ale i cierpienie oraz strach. *W Pamiętnikach* J. Korczaka możemy odnaleźć fragment rozmowy autora, przeprowadzonej z małą Helcią, rozmowy, która jest doskonałą ilustracją idei Korczaka, a zarazem myśli przewodniej mojego spotkania z Państwem:

– Wiesz Helciu ty jesteś niespokojnym człowiekiem.

Ona:

– Ja jestem Człowiekiem?

– No tak. Przecież nie pieskiem.

Zamyśliła się. Po długiej pauzie zdziwiona:

– Jestem człowiekiem. Jestem Helcia. Jestem dziewczynka. Jestem Polka. Jestem córeczka mamusi, jestem warszawianka... Jak ja dużo jestem.

Korczak stwierdza: „Dziecko jest pełnowartościowym, równym nam człowiekiem. I to w każdej fazie swojego rozwoju, w każdej instytucji i w każdej sytuacji dzieci nie będą dopiero, ale są już ludźmi [...]” „W duszy ich są zadatki wszystkich myśli i uczuć, które my posiadamy”.

Ta sama Helcia przy okazji kolejnego spotkania wypowiada słowa oddające istotę bycia wychowawcą:

Mam mamusię, tatusia, dwie babcie, dziadziusia, sukienkę, rączki, lalkę, stolik, kanarka, fartuszek. Czy ja pana mam?

Pada pytanie, owoc dziecięcych przemyśleń, w którym widoczny jest niepokój, brak pewności i potrzeba potwierdzenia, dającego poczucie bezpieczeństwa – tak niezbędnego w życiu dziecka. Na ile nasi wychowankowie cytując słowa Korczakowskiej Helenki „nas mają” i czy zachowane są proporcje w tym szczególnym, bo wychowawczym „posiadaniu” siebie nawzajem.

Choć od tego dnia upłynęło blisko pięćdziesiąt lat, wydaje się, że było to jakby wczoraj. Powracający w jakości niemal HD obraz pojawia się z natręctwem reklamy, w sposób niekontrolowany i niezależny od woli zainteresowanego, przerywając projekcję bieżących wydarzeń – nadchodzą wspomnienia, choćby takie, jak to, sięgające okresu wczesnej edukacji. „Ćwierkające od samego rana wróbelki”, chociaż nie byłem „Marysią” z owej znanej przed laty piosenki pierwszoklasistów, mnie również odprowadzały do szkoły. Kiedyś było ich całe mnóstwo, a browar przy ówczesnej ulicy Dąbrowskiego był ich enklawą i chociaż nie udało się im nawiązać ze mną dialogu i nie zapytały mnie, „dokąd idę”, to słowa nowo poznanej piosenki brzmiały w mojej głowie, jak mantra pierwszaka. Prowadzony za rękę przez swoją matkę, szedłem w kierunku Szkoły Nr 5. Z bijącym z emocji sercem, z wilgotnymi dłońmi podążałem na spotkanie z nieznanym, nowym światem. Droga do szkoły wiodła pod górę (dosłownie). Lubelska „ćwicznówka” mieściła się przy ulicy Narutowicza 12. Musieliśmy pokonać brukowaną ulicę Dąbrowskiego z kościołem św. Pawła, plac Wolności i przejść obok gmachu teatru im. J. Osterwy, by za chwile móc dotknąć położonej na wysokości mojej głowy mosiężnej klamki, potężnych drzwi szkolnych. W krótkim czasie opanowałem sztukę otwierania, ale gdyby nie obecność matki moja pierwsza próba ich pokonania zapewne zakończyłaby się fiaskiem. To, co ukazało się moim oczom po przekroczeniu szkolnego progu, przeszło moje najśmielsze oczekiwania – jeżeli w tym momencie jakiegokolwiek miałem. Byłem przygotowany na to, że w moim życiu nastąpią zmiany, że będzie szkoła, lekcje, nauka czytania i pi-

sania, ale że szkoła będzie „pałacem” – tego się nie spodziewałem. Ogrom holu głównego naszej podstawówki z centralnie położoną klatką schodową, z filarami podpierającymi wysoko osadzony strop, musiały robić i robiły piorunujące wrażenie na nieco zagubionym pierwszoklasiście. Wrażenia monumentalności wnętrza dopełniała szkolna aula. Cztery filary, biegnące wzdłuż bocznych ścian okna i wpadające przez nie światło, czyniły ją jeszcze większą niż w rzeczywistości. Przepiękne parkiety, pastowane i froterowane nieustannie przez panie woźne w sposób zwiastujący zbliżające się święto, które o ironio nie nadchodziło, stanowiły dopełnienie całości. Jak w tej szkole pachniało! Zapach ten mimo upływu lat uruchamia mój mechanizm rozpamiętywania. Blaszana puszka ze znakiem graficznym uśmiechniętego faceta w gustownym kapelusiku i napisem „Buwi”, a dokładnie jej zawartość, pozostawiła we mnie trwałe ślad. Zapach pasty do podłogi stał się elementem klimatu mojej podstawówki. Dziś nie pozostało wiele ze świetności tego budynku, który został skutecznie „zadeptany” przez rzeszę zdobywających pedagogiczną wiedzę studentów. Przypomina obecnie starą świątynię z wytartymi progami, popękana posadzką i „wymodlonymi ścianami”, które wciąż pozostają „świadectwem trwania w wierze”. Budynek przy ulicy Narutowicza 12, siedziba Studium Nauczycielskiego, Szkoły Podstawowej Nr 5, a później UMCS, jest nim również – świadectwem wieloletniej, ciężkiej nie zawsze owocnej pracy ku przyszłości, świadectwem wiary, nadziei i miłości, bo na nich przecież w istocie opiera się wychowanie.

Spotkanie pierwsze i inauguracyjne – Korczak niewidoczny

Pierwsze spotkanie z Korczakiem¹ – jeszcze „bezrefleksyjne”, nastąpiło w dniu inauguracji roku szkolnego 1965/66. W auli Studium Nauczycielskiego uczniowie Szkoły Podstawowej Nr 5 mogli obejrzeć film według książki Janusza Korczaka *Król Maciuś Pierwszy*². Bardzo dobrze pamiętam ten moment. Dla mojego pokolenia kino było czymś szczególnym. Wychowani na kinowych porankach, traktowaliśmy je jako okazje do przeniesienia się w inny, jakże od nas odległy, bajkowy i egzotyczny świat. Jednym słowem kino to było „coś”. Nasza dziecięca wyobraźnia czerpała z ubogiej wówczas oferty kinowej inspiracje do nowych zabaw, stanowiła ona również niebagatelne źródło poznania dla otwartego na nowe doświadczenia umysłu. Połączenie inauguracji roku szkolnego z projekcją filmową mogło być i było odebrane przeze mnie i kolegów pierwszoklasiistów, jako podwójne święto. Nie przypuszczam, by współczesna widownia dzie-

¹ E. Dauzenroth, *Janusz Korczak: życie dla dzieci*, przekład T. Semczuk, Kraków 2012; M. Chymuk, *Janusz Korczak. Dziecko i wychowawca*, Kraków 2009; J. Olczak-Ronikier, *Korczak. Próba biografii*, Warszawa 2011; M. Falkowska, *Rodowód Janusza Korczaka*, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1997, nr 1, s. 32–33.

² J. Korczak, *Król Maciuś Pierwszy*, Warszawa 1923.

cięca mogła równie żywiołowo reagować na rozgrywającą się w tym filmie akcję. Magia dużego ekranu pozwoliła nam na dłuższą chwilę zapomnieć o rozpoczynającym się tego dnia obowiązku szkolnym, szeroko otwarte buzie podkreślały efekt przeżytego spotkania z filmem i Korczakiem, który w moim szkolnym doświadczeniu pojawił się po raz pierwszy. Jeszcze niezauważony, przechadzał się korytarzami zacnej „ćwiczeniówki”. Dopiero po wielu latach zacząłem w tym wydarzeniu dostrzegać pewną symbolikę spotkania z człowiekiem, którego życie i myśl z racji wykonywanego przeze mnie zawodu towarzyszą mi do dnia dzisiejszego, a zaczęło się od *Króla Maciusia Pierwszego*. Nikt nie mógł wtedy przypuszczać, (a późniejsze lata mojej edukacji, z towarzyszącą mi opinią trudnego ucznia, zdają się to przypuszczenie potwierdzać), że zostanę kiedyś nauczycielem. Chichot losu, kara za nieodrabiane lekcje, skutkująca tym, że muszę je odrabiać do dnia dzisiejszego, przygotowując się do zajęć z moimi uczniami i starać się (o zgrozo!) robić to najlepiej, jak potrafię. Przewrotne to ludzkie życie, przewrotne! Koniec projekcji szybko przywrócił nas światu realnemu. Rozpocząłem edukację. W naszej szkole pierwsza klasa była tylko jedna. Mali posiadacze granatowych fartuszków z białymi, mocno nakrochmalonymi kołnierzykami zostali przez Panią sprawnie ustawieni w parach. Obowiązywał prosty klucz. Decydował wzrost i płeć. Boże – myślałem, żeby Pani nie ustawiła mnie w parze z tym piegowatym chudzielcem. Moje obawy okazały się bezpodstawne. Chudzielec był ode mnie dużo wyższy i wylądował na końcu. Ja zaś z uwagi na „marność” postury znalazłem miejsce w drugiej parze. Tak ustawieni, trzymając się za ręce, odprowadzani zatroskanym wzrokiem rodziców, powędrowaliśmy do klasy. Mocno zużyte, zielone ławki, przygotowane specjalnie dla najmłodszych uczniów, stanowiły integralną całość z siedziskiem. Siedzących w niej uczniów oddzielała poprzeczna belka, na której można było wygodnie oprzeć uczniowską nogę. Po zajęciu przez nas miejsc nasza Pani (która jak się później okazało przez okres ośmiu długich lat była naszą wychowawczynią) powitała nas w ciepłych słowach, orientując się po naszych nietęgich minach, wyrażających zagubienie, że stoimy w obliczu sytuacji nieco nas przerastającej. Następnie przekazała nam kilka istotnych informacji i uwag dotyczących sposobu zgłaszania się na lekcji, wyjść do komóreczki (WC), korzystania z kałamarzy – i początek został zrobiony.

Spotkanie drugie z udziałem Korczaka – Korczak obecny

Rozpoczął się proces, który stanowi fenomen pracy nauczycielskiej. Jest nim możliwość wpływania i czynnego uczestnictwa w rozwoju młodego człowieka, możliwość obserwacji zmian zachodzących w wyniku prowadzonych działań dydaktycznych i wychowawczych. Towarzyszący tym działaniom cel może się sprowadzać do jednego – osiągnięcia pełni dojrzałego człowieczeństwa tych, którzy (parafrazując słowa Janusza Korczaka) już są, a nie dopiero staną się ludźmi. Oby

bagaż wyniesionych ze szkoły wartości mógł okazać się pomocny w sytuacjach trudnych, których nie brakuje we współczesnym dorosłym życiu, pełnym moralnych niepokojów, wątpliwości, relatywizmu i swoistego rodzaju rozdwojenia jaźni aksjologicznej – czynników, które w sposób znaczący komplikują również wszelkie formy oddziaływań wychowawczych. Pracy wychowawczej nie ułatwia również brak autorytetów, niezbędnego – jak niektórzy to określają – „zaplecza moralnego”, które mogłoby stanowić niezbędny w wychowaniu punkt odniesienia dla wychowanków, ale i dla wychowawców. W opinii Ojca Świętego wychowanie należy rozpatrywać w kategorii twórczości, do każdej jednostki ludzkiej musimy podchodzić indywidualnie. Nie można otwierać ludzkich dusz i ludzkich serc tym samym zestawem metod i środków.

W pracy pedagogicznej nie może być miejsca dla przypadku – na żadnym jej etapie. Wymaga ona od tych, którzy zdecydowali się na jej wykonywanie, szczególnych predyspozycji i zaangażowania graniczącego z pasją. Sam wychowawca musi stać się niejako twórcą, a nie rzemieślnikiem – mówił JPII Nie może więc być w niej miejsca dla ludzi nieodpowiedzialnych i przypadkowych. Bo „bezcenne” jest tworzywo, z którym pracuje nauczyciel. Popelnione błędy są często nieodwracalne. Nie chciałbym, by moje wspomnienia były postrzegane jako jeden z syndromów zbliżającej się starości, gloryfikującej wszystko to, „co za moich czasów”, są raczej (a przynajmniej chciałbym, by tak było) formą krytycznej retrospekcji tego, co minione, a co wiąże się ze szkołą. Retrospekcja stanowiąca przywołanie wcześniejszych wydarzeń daje możliwość spojrzenia w przeszłość, pozwala na analizę zdarzeń, które z racji wieku, w jakim ich doświadczałem, nie mogły być moim w pełni świadomym udziałem; pozwala przywołać w pamięci wszystkich tych, którzy dla nas – uczniów wykonali tytaniczną pracę bez oglądania się na otaczającą ich wówczas rzeczywistość i którzy do dzisiaj pozostają dla mnie wzorem, również w pracy pedagogicznej. Potrafili oni – i nie wiem czy jest to wynikiem studiowania prac Korczaka – „wskazywać drogi”, bez oglądania się na polityczne uwarunkowania i płynące z ich realizacji profity. Wykonywali swoją pracę w oparciu o prawdy uniwersalne i ponadczasowe z pełnym oddaniem. Takie spojrzenie jest również okazją do wyrażenia wdzięczności tym, których działania nie zostały zauważone i docenione w czasie, kiedy ich doświadczaaliśmy. Wspominam i dziękuję. Wspominam i pragnę wyrazić wdzięczność! Pani „od polskiego” za prawdę o Powstaniu Warszawskim (jakże inną od tej podręcznikowej). Za jej odważną obecność na uroczystości Pierwszej Komunii Świętej naszej klasy. Za śpiewane na wycieczkach powstańcze piosenki, za chłopców „od Parasola”. Pani „od historii” – za opowiadania o starym Lublinie, o bombardowaniach miasta w okresie II wojny światowej i wzruszającej historii piosenki *Dziś do Ciebie przyjść nie mogę*, za prawdę o Katyniu, o którym dowiedziałem się w szkole – tamtej szkole!!! W latach siedemdziesiątych XX wieku można było za to stracić pracę – nie tylko nauczyciela. Pani „od matematyki”, stojącej twardo na gruncie

umiłowanego przedmiotu – za to, że potrafiła znaleźć czas na odrobinę swoich wojennych wspomnień. Bez zbytejnej egzaltacji, w sposób charakterystyczny dla umysłów ścisłych, opowiadała o generale Andersie, pustyni i pracy w „szkole pod namiotami” dla polskich „tułaczycy dzieci”. Pani Górnej, której nazwisko jako jedynej wymieniam w tym materiale, wówczas już bardzo wiekowej osoby – za jej wełniany sweter z maleńkimi kieszeniami, w których tkwiły chusteczki do nosa, często wykorzystywane do wycierania zapłakanych oczu maminsynków i rozbitych nosów szkolnych łobuziaków. Za jej ciepłą dłoń, której dotyk pamięta każdy uczeń stojący w kółku ze „starym niedźwiedziem, który mocno śpi...” Nie wspomniałem o jeszcze jednej osobie, która – jestem o tym przekonany – była tam z nami, o Januszu Korczaku. Troskliwe zainteresowanie naszych nauczycieli, przekazywana nam prawda, mimo czasu kłamstwa i politycznej obłudy, pozwalała sądzić, że On tam był. Tak, był tam na pewno. Bo jest On wszędzie tam, gdzie dziecko traktowane jest z pełną godnością i w pełni przysługujących mu praw. Mogło być tak pięknie, gdyby nie to, że na jednym ze spotkań Korczak się nie pojawił...

Spotkanie trzecie, na którym Korczak się nie pojawił (czyli Jekyll i Hyde)

Na tym spotkaniu nie było Janusza Korczaka, bo nie mogło go tam być. Nie mogło go być tam, gdzie nie szanuje się praw dziecka, gdzie nauczyciele doświadczają swego przeistoczenia, stając się tyranami dla oddanych im pod opiekę wychowanków. Z ogromnym żalem, graniczącym wręcz z fizycznym bólem, muszę o tym powiedzieć, traktuję to jako obowiązek. Myślę, że jestem pierwszym absolwentem „ćwiczeniówki”, który o tym pisze. Przykre to zadanie, ale konieczne do wykonania. Jest to zobowiązanie, z którego chcę się wywiązać wobec samego siebie, koleżanek i kolegów uczęszczającej do mojej szkoły. Żyliśmy w określonych czasach historycznych, czasach, które dawały swoiste przyzwolenie tym, którzy sięgali po przemoc w wychowaniu i nie miało to większego znaczenia, czy działo się to w szkole, czy w domu. „Klaps jeszcze nikomu nie zaszkodził”. Już w tym stwierdzeniu widzimy współcześnie znaczącą niestosowność, a co dopiero w sytuacji, kiedy przemoc przybierała bardziej wyrafinowane formy? Co z podstawową potrzebą poczucia bezpieczeństwa, co z zaufaniem do rodzica, nauczyciela i wychowawcy? Paraliżujący strach przed atakiem furii ze strony nauczyciela pozostawia ślad na całe życie. Co działo się z niektórymi z naszych nauczycieli? Co powodowało u nich potrzebę swego przeistaczenia się w tyranów? Tłumaczenie swojego zachowania wzburzeniem, zdenerwowaniem, za które winę ponosi oczywiście dziecko, jest kolejnym elementem tej spirali przemocy. Jeszcze dzisiaj śledząc portale społecznościowe, można natrafić na wspomnienia uczestników tych niestosownych zachowań nauczycieli. Ponad-

pięćdziesięcioletni ludzie wracają do tego. Czy jest się nad czym zastanawiać i do czego wracać po tak wielu latach? Tak. Jest do czego wracać. Niech to będzie ostrzeżenie dla tych, co nie rozumieją dziecka, nie pojmują jego szczególnej wrażliwości i pamięci, w której niejednokrotnie na zawsze pozostaje doświadczona krzywda zadana przez tych, którzy są dla dziecka osobami ważnymi: rodzice, nauczyciele, wychowawcy. Tego się nie zapomina, przeżycia te powracają i mogą być powodem bólu, również w życiu dorosłym. Wybrane przeze mnie przypadki przemocy miały miejsce w ośmioletniej szkole podstawowej.

Wraz z upływem czasu i dorastaniem uczniów ich natężenie malało. Nie przypuszczam, że było to związane ze znaczącą poprawą naszego zachowania. Rozwijaliśmy się, rośli, tak że w pewnym momencie przewyższaliśmy wzrostem naszych nauczycieli, a w zasadzie jednego, bo to on okazywał się głównym sprawcą naszej uczniowskiej niedoli. Próba wytargania za uszy dryblasza z ósmej klasy, nawet dla osoby lubiącej się w takich formach oddziaływań wychowawczych, może wydać się niestosowna, a być może również ryzykowna. Są i na to przykłady. Jak do tego mogło dojść? Jak na szali obok bezsprzeczne doświadczonego dobra mogło pojawić się tyle zła? W naszym życiu wciąż doświadczamy zadziwiającej mieszanki dobra i zła. Trwamy w tej płątaninie każdego dnia. Jednak od nas samych zależy, która z tych dwóch wartości okaże się dominująca. Pierwsze lanie dostałem chyba za rozmawianie na lekcji. Nic szczególnego. Pani trzepnęła mnie zeszytem w głowę i „pomogło” to na tyle, że więcej na lekcji starałem się nie rozmawiać. Podpadałem za tyle spraw, że rozmawiania na lekcji mogłem sobie oszczędzić. Pierwszych zbiorowych ćwiczeń dyscyplinujących doświadczyliśmy już na początku pierwszej klasy. Ćwiczenie to polegało na wielokrotnym wstawaniu i ponownym siadaniu w ławkach, aż do osiągnięcia stanu porażającej ciszy, na której zależało naszej nauczycielce. Uderzanie trzymaną przez nauczyciela ręką o blat stołu, targanie i podnoszenie za uszy, aż do ich naderwania, szarpanie za włosy – to niektóre z katalogu kar, które fundowała nam nasza „buda”. Autokratyczny styl kierowania wychowawczego, a z takim mieliśmy wówczas w znaczącej przewadze do czynienia, być może paradoksalnie skutkuje osiągnięciem przez uczniów dobrych wyników w nauce. W obawie przed karą uczniowie, a przynajmniej ich część robi co może, by dobrze przygotować się do lekcji, by sprostać wymaganiom nauczyciela autokraty. Tak też było i w tym wypadku. Znacząca część absolwentów mojej klasy to osoby z wyższym wykształceniem, wielu sprawuje eksponowane stanowiska, są wśród nas lekarze, prawnicy, nauczyciele, nauczyciele akademicy, profesorowie. Różnorodność ludzkich losów i przeżyć, połączona wspólnym mianownikiem wspomnień, jest udziałem nas wszystkich, bez wyjątku. Szkoła odcisnęła w nas trwałe ślady na całe życie i nie byłoby w tym nic zdrożnego, gdyby nie to, że ten pozostawiony ślad to również piętno przemocy, którego doświadczenie, mimo upływu lat, pozostaje w nas wciąż żywe,

nie jesteśmy w stanie o nim zapomnieć. Pamiętam naderwane uszy, opuchnięte dłonie skrzętnie skrywane przed rodzicami. Pamiętam koleżankę, która uniesiona przez nauczycielkę za kucyki do wysokości tablicy, dokonywała, wisząc w powietrzu, rozbioru zdania, a swoim zadartym noskiem wskazywała orzeczenie. Paradoksalnie ta sama nauczycielka, która w chwili gniewu siała postrach wśród uczniów, potrafiła na kolanach prosić swoją koleżankę matematyczkę o promocję do następnej klasy dla swojego wychowanka. Pamiętam razy zadawane deseczką do lepienia plasteliny, linijką, piórnikiem i to doświadczenie bólu fizycznego, który można człowiekowi zadawać (wiem to z własnego doświadczenia, szkolnego zresztą) do pewnego tylko momentu, potem ofiara nie odczuwa już bólu, zaczyna jej być wszystko jedno. Myślę, że już wystarczy. Moja retrospekcja ma nie tylko, jakby niektórzy chcieli sądzić, znaczenie terapeutyczne. Jest, a raczej powinna być ostrzeżeniem dla tych, którzy nie do końca rozumieją istoty wychowania, którzy w dziecku wciąż jeszcze nie mogą dostrzec człowieka, dla których partnerstwo w wychowaniu jest pojęciem niestosownym. Czy rzeczywiście mądre towarzyszenie innemu człowiekowi we wspólnie obranej drodze do celu jest niestosownością? Moje wspomnienia byłyby zapewne inne, może nawet radosne, gdyby w mojej szkole w tych trudnych dla dziecka chwilach pojawił się Korczak. Szkoda, że Cię tam wtedy nie było Drogi Mistrzu Januszu Korczaku, że w tych trudnych dla dziecka doświadczeniach opuściłeś na chwile zacy gmach Szkoły Ćwiczeń – by za czas jakiś (jestem o tym przekonany) wrócić tam ponownie.

BIBLIOGRAFIA

- Chymuk M., *Janusz Korczak. Dziecko i wychowawca*, Kraków 2009.
Dauzenroth E., *Janusz Korczak: życie dla dzieci*, przekład T. Semczuk, Kraków 2012.
Falkowska M., *Rodowód Janusza Korczaka*, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego” 1997, nr 1, s. 32–33.
Korczak J., *Król Maciuś Pierwszy*, Warszawa 1923.
Ólczak-Ronikier J., *Korczak. Próba biografii*, Warszawa 2011.

SUMMARY

Retrospective pedagogical meditations with Korczak in the background

The article presents childhood memories of Kazimierz Rejmak, who wrote “Buwi” – recollections with Korczak in the background. It concerns reception of pedagogical ideas of the doctor, educator and child rights fighter Janusz Korczak.

